

Kiechnął i najspokojniej już w świecie zaczął:

— A o czymże to mówiliśmy?

— Czekaj... zaraz sobie przypomnę...

— O Stasiu, proszę pana — pomogła im Andzia, która wniosła na świecę dużą zieloną umbrellkę.

— A tak, o Stasiu! A gdzież on będzie spał?

— Gdzie, w saloniku.

— Zapewne, żebyś dziesięć razy wstawała na noc zobaczyć, czy leży spokojnie, czy się nie odkrył, czy niema przypadkiem gorączki. Nic z tego, moja pani!

— W saloniku będzie, proszę pana, najcieplej. Ja sobie będę ślać w przedpokoju, to jak panicz się obudzi, usłyszę i zrobię wszystko, co potrzeba.

— Ale jak by było z nim, czego Boże broń, źle, to nas obudzisz.

— Rozumie się.

— Oj, kłopot to tylko z temi dziećmi — westchnęła pani Magdalena — powiadam ci Andziu... To też ty dobrze robisz, że nie myślisz o mężu.

Dzieweczyna zarumieniła się.

Oczywiście, jednak, zaprzeczyła temu. Z za okna, przy którym stała, odezwał się głos: „Panno Anno!” (Głos był przyciszony, nie mniej, jednak, wyraźny).

Pan Franciszek aż usmiechnął się z zadowolenia.

— Nie myślisz, nie myślisz — ciągnął, niby do Andzi, ale właściwie pod adresem swojej małżonki, rad, że się może znów z nią przekomarzać — ale za to ktoś inny myśli. Moja pani, dziś tylko za siebie rezygnacja, a i to nie zawsze. A któż to dziś śpiewał o zgubionem sercu i pomylił się na Wiciusiu, bo Wiciuś mu na imię, nieprawda?

— Wiciuś, proszę pana. Ale to tylko tak...

Dziewczyna, czy ty się Boga nie boisz, jak to tak? — wtręciła pani Magdalena. — Jak ma tak być, to niech się lepiej już ożeni.

— Kiedy ja nie chcę, bo jakżebym ja państwa samych zostawić mogła? Pan taki dobry, pani, nieprzymierzając, jak druga matka chodziła koło mnie, gdy zachorowałam. Nie chciałam państwu głowy tem zaprzętać, ale kiedy ten hultaj, mnie tak skompromitował, to już powiem wszystkim. Jeszcze jakim była u państwa radców, w tym samym domu był warsztat ślusarski i Wiek tam był terminatorem; otóż pewnego razu zepsuła mi się dusza, a on mi ją naprawił, i tak się wszystko stało...

Andzia wypowiedziawszy to, odetchnęła głęboko, ucałowała ręce pani Magdaleny, potem pana Franciszka i dodała jeszcze:

— Mój Wiciuś już jest czeladnikiem i nieźle na siebie zarabia. Mają srebrny zegarek, dwa garnitury i kilkanaście rubli uciniałnych. Kupił nawet korale, koleżki i broszkę i chciał mi dać na prezent, ale ja mu powiedziałam: „Jak pójdziesz do ciebie, to mi będziesz dawać prezenta, bo będzie za co, a teraz cze-

kaj aż mnie moi państwo nie będą potrzebowali...”

— A ten urwis doczekać się nie może, bo cię woła i woła przez okno.

— Niech sobie woła! Nie taka ja do niego wyrwana. Wprzód muszę samowar nastawić.

Zapewniwszy w ten sposób państwa o sumiennem pojmowaniu obowiązków i odradzie, jaką miała do „swego” Wiciusia, Andzia znikła.

Starzy przysunęli się bliżej do siebie. Ona umbrellkę na świecę opuszczała niżej i wzięła bawelną i drut, który w jej rękach szybko migać zaczęły. On usmiechał się czas jakiś sam do siebie, a może do wspomnień, jakie w nim obudziło przyznanie się dziewczyny.

— Wiesz co, Magdzia, miłość jednak to dobra rzecz! Wcale dobra — powtórzył z przekonaniem smakosza, który wspomina ucztę przed lat wielu...

— Eh, co może być w mej dobrego ciągle niepokój, ciągle gorączka... A mało ja się naplakałam, gdyś to gwałtem do Węgier się wybierał...

— A jam to może nie zrobił dla ciebie ofiary, żem się zostawił... A i tak nie wiem, jakby to jeszcze było, gdyby nie Józio i nie jego choroba, która wy-magała wyjazdu do cieplejszego klimatu. On pewno od tego jeszcze czasu nosił w sobie zarodki słabości.

— Jak będzie, tak będzie. Na wszystko wola boska. Ale żeś się ty nie domyślił, że tanta choroba jego była tylko udana. Pocięty konsyliarż pomógł mi i mamie wywieść cię w pole. Chciałeś się przetrząść, to wyjechałiśmy do Włoch, przynajmniej tam byłeś bezpiecznym.

— Ach, gdybym mógł wiedzieć, żeś oszukała mnie wtedy, na złość bym niekił...

— Nie niekiłbyś, bo nie miałbyś sereca żony zostawić wdową, a dziecka sierotą... a potem, czy źle ci było koło nas?... Powiedz tylko? Czy pamiętasz wtedy, w ten wieczór lipcowy... Tak, jak dziś, przez dzień cały było skwaro, późno dopiero wyszliśmy do ogródka i usiedliśmy na ławeczce; przez otwarte okno słuchaliśmy równo oddechu śpiącego malca, trzymając dłoń w dłoń i mówiliśmy o naszym domku na Powiślu i jeszcze o czymś, pamiętasz?...

— Nie dał nam Pan Bóg tej pociechy...

— Nie przeszkodziło, jednak, nam to się kochać gorąco.

— Nie przeszkodziło!

Dłonie starszków w silny uścisk się spłotyły, każde z nich podążyło w owe chwile tak dawne, a tak słodkie, i znajdowało w nich rozkosz niewypowiedzianą. Boże, jakież to wszystko dawno było, a jak świeże jeszcze w pamięci! Nie mówili już nie, ale twarze ich ozłocił uśmiech szczęścia... I nie spostrzegli się, jak wpadli oboje w pół czuwanie, pół-drzemkę, starości wdańciwe...

Spostrzegła to, jednak, Andzia, która doczekawszy się tej chwili, ostrożnie zamknęła okno, a odsunawszy świecę

na środek stołu, wybiegła do swego słusarczyka, by zapytać:

— Wiek, czy jak my się postarzeliśmy, to także będziemy tylko spać jedno koło drugiego?

Aleksander Messyng.

## Przyjacielska usługa.

...Trzeci dwonek — pociąg rusza — Igręk patrzy po wagonie.

Czy mnie oczy?... Dobra dusza,

Iks, we własnej tu personie!...

— Ot, tak kogo?... Jakże zdrowie?...

— Żona, dzieci?... — A u ciebie?...

I przyjaciel dwóch zasiadał

Gwarzyć miłe, jakby w niebie.

Przelecieli stacyj sporo

I tak ciągle: gadu-gadu.

Przetarli gdzieś w lufecie,

Doczekali się obiadu,

A że upał był niechada,

W poobiedniej drzemki chwili

Przyjaciele snem znużeni

W dwóch się kątach przytulili,

Drzemną... Nagle Iks się budzi.

Jaką stacja... — Igręk gdzie tu?

Żuż go niema?... Widac poszedł

Figlarz sobie do bufetu,

A mnie nie widać... Ot, przyjaciel!...

Lecz nie wraca, a czas leci.

Cóż to znów? Dzwonek drugi...

Jeszcze nie ma?... — Dzwonek trzeci!

Wysiadł widac, a mnie nie chciał

Budzić, bo to grzeczne *homo*,

Ale czemu tu został?

Pled, walizkę? — niewiadomo!

Roztargniony zawsze pada,

Mój Igręku byś z ciebie,

Dobrze jeszcze, że przyjaciel

Wesprze dzisiaj cię w potrzebie... —

I walizkę buch! przez okno,

Pled, parasol i tam dalej...

(Ciesz się, Igręk, twój przyjaciel

Sytuację zła ocali!)

— Tak się robi! — rzekł Iks wreszcie

I pot otarł sobie z czoła,

Potem siadł i z satysfakcją

Powiodł wrokiem do okna.

Znowu stacja. Drzwi otwarto,

Iks przeziiera sobie oczy:

Co u diabła? Do wagonu

Igręk, jako żywo kroczy

— A ty zkad tu? — Ot, przygoda,

Tak się mylą te wagony,

Zem wszedł w obcy... Nie dziwota.

Taki jestem roztargniony!

Iks aż pobladł — woła w złości:

— Wiek ty, człeku, jedziesz dalej?...

— Tak! — Wiek szukaj twych manatów,

Jeśli ci je zachowali...

Teraz Igręk zbliadł i pyta,

Z wystraszoną miną diabła:

— Gdzie walizka?... — Wyrzucona!

— Pled? parasol?... — Także!

Tableau...

niż.

## Od Wydawnictwa.

Nr. 45. „Wesołego Kurjerka” całkowicie ilustrowany, z powodu nie ukończenia rysunków, dołączony będzie do numeru 47, czem się dla uniknięcia reklamacyj zawnadamia.